**Z WOLNOŚCI NIE REZYGNUJE SIĘ DLA SŁAWY!**

**KIEDY WIDZĘ Z JAKIM BY SIĘ TO WIĄZAŁO GÓWNEM, TO NIGDY NIE ŻAŁUJĘ, ŻE NIE PODPISYWAŁEM WIELKICH KONTRAKTÓW.**

**Rozmowa z Wojciechem Wojdą, twórcą liderem zespołu FARBEN LEHRE**

**Wiesz dlaczego szanuję Farben Lehre?**

- Dlaczego?

**- Bo lata temu wybraliście drogę artystycznej wolności i trzymacie się jej konsekwentnie. Nie ma was w mediach, nie ma was na radiowych playlistach, a jednak nie tylko trwacie, ale prawdziwej popularności może wam zazdrościć wiele tzw. gwiazd.**

- To prawda. Ale moim zdaniem właśnie na tym polega prawdziwa niezależność. W naszym przypadku można tę niezależność nazwać radykalną i skrajną.

**Bo?**

- Choćby dlatego, że nigdy nie podpisujemy długoterminowych kontraktów. Nawet, kiedy jedną z płyt wydaliśmy w dużej firmie Mystic Production, to wszystko odbyło się na tzw. „gębę”. Wiesz, to jest przede wszystkim kwestia zaufania, ale również poczucia wolności. Oni wstępnie zaproponowali nam kontrakt na kolejne dwie czy trzy płyty. Ale ja uważam, że układ jest prosty: jeśli wszystko będzie OK, to i tak, bez podpisywania zbędnych papierów wydamy u Was kolejną płytę, a jeżeli nie, to nasze drogi bezproblemowo się rozejdą. Od lat to my ostatecznie decydujemy o tym, co znajduje się na naszej płycie, jak ma wyglądać okładka, czy jak będą wyglądały wszelkie działania promocyjne. Oczywiście zawsze konsultujemy wszystko z naszymi partnerami, ale to do nas bezwzględnie należy ostatnie zdanie.

**Wydawca zwykle zastrzega sobie prawo do ingerencji w materiał i w promocję.**

- Nie zwykle, tylko raczej zawsze. Opowiem ci o tym jak wyglądała sprawa z naszym niedoszłym kontraktem w Izabelin Studio. Wiele lat temu to był prawdziwy potentat na rynku wydawniczym. Mieli naprawdę świetny katalog artystów, ale też duże oczekiwania. W 1990 roku byliśmy jednym z laureatów festiwalu w Jarocinie i nagrodą miała być sesja nagraniowa, właśnie w Izabelinie. Jednak podczas rozmowy z Katarzyną Kanclerz, która wtedy odpowiadała za politykę wydawniczą, dowiadywaliśmy się kolejno o tym, że mają inny niż my pomysł na okładkę, inny pomysł na to, który utwór dać na singla i wiele innych. I wszystkie one były sprzeczne z naszymi oczekiwaniami.

**No i płyty nie wydaliście. Na okazję musieliście czekać kolejne pół roku. Dla młodego zespołu na dorobku, w dodatku u progu lat 90., to były wieki. Warto było?**

- Oczywiście, że było warto. Wtedy wiele osób pukało się w głowę. Pytali, czy nam odwaliło? A ja po prostu od zawsze wiedziałem, co chcę robić, jak grać i o czym śpiewać. I nie zamierzałem z tego zrezygnować. W przeszłości wielu artystów bezkrytycznie podpisywało kontrakty na warunkach wytwórni, a dzisiaj już ich nie ma na scenie. Zdarzało się tak – nie będę wymieniał nikogo z nazwy – że po sukcesie pierwszej płyty, nagrywali nowy materiał i chcieli go jak najszybciej wydać. Przychodzą więc z nim do wytwórni, z którą mają kontrakt na trzy płyty, myślą, że wszystko jest OK, bo przecież jest umowa, a tu spotyka ich przykra niespodzianka. Bo panowie czy panie z danej wytworni mówią im wprost, że na razie nie ma popytu na ich muzykę, więc teraz im płyty nie wydadzą. Muszą cierpliwie poczekać na lepszy czas – może miesiąc, może rok, a może kilka lat. Zdesperowani muzycy chcą iść do kogoś innego, ale nie mogą, bo firma ma na nich wyłączność. Zatem, zanim pójdą gdzieś indziej, muszą trzy płyty wydać tu, zgodnie z kontraktem.

**Ale muszą. Błędne koło.**

- No właśnie. Udało się tak wykończyć wiele dobrych zespołów. Albo w ten sposób, albo każąc im zrezygnować z własnego stylu i osobowości. Wmawiano im, że nie liczy się ich intuicja artystyczna, wrażliwość czy charyzma, tylko jakieś idiotyczne prawa rynku, kreowane mody i tak dalej. Gdzie teraz są takie zespoły jak chociażby Big Day, Lizar, Rotary czy wiele innych? Narobiono im nadziei, dopasowywano do aktualnej mody, wyciskano jak cytrynę, a potem zostawiano samym sobie. Trzeba wiedzieć, że prawie każdy wydawca patrzy na artystę jak na towar, czy to się komuś podoba czy nie. Oczywiście ich prawo mieć takie podejście oraz wolny wybór kapel, które dla rzekomej kariery godzą się na takie przedmiotowe traktowanie. Nie mnie ich oceniać, ale chodzi o to, że ja i moi koledzy nie chcemy brać w takim cyrku udziału.

**I za to was bardzo szanuję. Ale nie powiesz mi, że widząc jak inne zespoły robią karierę, pokazują się w telewizji, mają wypasione teledyski, samochody, nigdy nie czuliście, że też byście tak chcieli.**

- No pewnie, że czasem pojawiały się takie myśli, ale równie szybko znikały. Przecież myśmy widzieli, że te wszystkie rzeczy są w większości iluzją na pokaz. Tak naprawdę, to nie było czego żałować, a tym bardziej zazdrościć. Znaliśmy się z zespołami na kontraktach i widzieliśmy, że to nie jest tak kolorowo z tymi pieniędzmi. Popularność z telewizji, radia czy z gazet jest dalece ulotna, a żeby ją utrzymywać, trzeba iść na wiele kompromisów. Te z kolei potrafią skutecznie zniszczyć co wrażliwszych artystów. Bo trzeba sobie na samym początku odpowiedzieć na ważne pytanie: po co i dla kogo chcesz grać, koncertować, etc.? Jeżeli celem jest tylko popularność, okładki gazet i wywiady w kolorowych czasopismach, to biernie godzisz się na to, co ci proponują. Wchodzisz w to i jesteś szczęśliwy. Nie ma w tym nic złego, gdy ktoś w ten sposób realizuje swoje marzenia. Ale jeśli chcesz grać, żeby o czymś opowiadać, muzyką i słowem komunikować się z innymi ludźmi, robić to co czujesz, to wtedy przestaje ci zależeć na tym całym blasku kamer, wypasionych teledyskach i zainteresowaniu mediów. Robisz swoje.

**Niby tak, ale Farben Lehre też dopadł kryzys. W pewnym momencie musiałeś wymienić cały skład. Dlaczego?**

- Podczas trasy koncertowej po Włoszech, w grudniu 1998 roku, ostatecznie zdałem sobie sprawę, że potrzebna jest rewolucja. Pamiętaj, że do końca XX wieku, za wydane płyty nie dostaliśmy ani złotówki. Zarabialiśmy na koncertach, ale to były w sumie grosze. Nie byliśmy w stanie utrzymać się z grania, więc nie mogliśmy w 100% poświęcić się muzyce. Doszło do takiej sytuacji, że w pewnym momencie koledzy uznali, że skoro nie ma z tego praktycznie żadnych pieniędzy, to niech chociaż będzie to przyjemność i dobra zabawa. Tego typu podejście w konsekwencji spowodowało, że od koncertu ważniejsze stawały się imprezki przed, czy zwłaszcza po występie. Równocześnie pojawiła się rutyna i całkowity brak pomysłów. Doszło do tego, że przygotowując nowe utwory do albumu „Zdrada”, musiałem każdemu mówić co i jak ma grać. To przestawało mieć jakikolwiek sens. We Włoszech czara się przelała, więc po powrocie do domu wyrzuciłem wszystkich i zacząłem od nowa. Zebrałem muzyków i przez dwa lata zrobiliśmy materiał na płytę „Atomowe zabawki”, który miał już zupełnie inną energię. Był bardziej pozytywny, optymistyczny, zarówno pod względem muzyki, jak i tekstów. Pozbyliśmy się tego dołującego mroku, który był wcześniej.

**To wtedy przeszliście już na całkowite zawodowstwo, czyli że żyjecie już tylko z muzyki?**

- Niedługo później, bo w 2003 roku podjęliśmy taką decyzję. Bo albo muzyka, albo fabryka. Na przykład mój brat zrezygnował z pracy w urzędzie miasta, po kilkunastu latach. Postawił wszystko na jedną kartę, zresztą każdy z nas zrobił to samo, rezygnując ze swojej dotychczasowej pracy. I po latach okazało się, że to była słuszna decyzja. Najlepsza.

**Wróćmy na chwilę do początków. Pierwsza płyta Farben Lehre ukazała się wreszcie w 1992 roku. Czuliście, że zdobywacie świat?**

- To była koncówka 1991 roku, ale jak moglibyśmy się tak czuć, skoro wszystkie emocje związane z nagraniami już minęły, a wszystkie utwory ograne były na koncertach? To był po prostu rodzaj podsumowania pierwszego okresu naszej działalności, czyli wybór utworów z pięciu lat grania. Nie da się jednak ukryć, że radość, satysfakcja i dreszczyk emocji również się wówczas pojawiły.

**Takie „The Best Of...” na zachętę do dalszej pracy…**

- Można tak powiedzieć. Powiem ci o dwóch rzeczach, związanych z płytą „Bez pokory”. Po pierwsze, była to jedna z ostatnich polskich płyt winylowych w tamtym czasie, bo ówczesny rynek zdominowały tańsze i popularniejsze kasety magnetofonowe. A po drugie – i to jest naprawdę ciekawe – nasz wydawca, czyli nieistniejąca już firma Arston, żeby móc wydać tę płytę, musiała wykupić nasze nagrania z Izabelina. Niezły numer, bo sesja nagraniowa w studiu Puczyńskiego była przecież nagrodą za wygrany Jarocin. I myśmy w grudniu’90 zrealizowali te nagrania, ale okazało się, że nie należą do nas. Niezłe, co? Krótko mówiąc okazało się, że nie dostaliśmy żadnej nagrody, skoro trzeba było za tę sesję normalnie zapłacić. Tak się wtedy kręciło interesy.

**Na szczęście Arston nagrania wykupił i wydał.**

- Tak. Wspominam tę współpracę całkiem dobrze, bo nikt nam się do niczego nie wtrącał i sami decydowaliśmy o większości rzeczy.

**Dzisiaj, gdyby nie to, że niebezpiecznie zbliżamy się do podobnego systemu jak za PRL-u, mogłoby to zabrzmieć jak bajka o żelaznym wilku, ale w latach 80., kiedy zaczynaliście, zespoły rockowe, nawet te niekoncesjonowane jak Bajm, Lombard i im podobne poddawane były cenzurze. Trzeba było przed koncertami zgłaszać swoje utwory i dostać od cenzora pieczątkę pozwalającą na oficjalne wykonywanie konkretnej piosenki podczas jakiegoś festiwalu. Nawet w Jarocinie. Wy też mieliście takie przygody?**

- Niewiele, ale pamiętaj, że my nie występowaliśmy w telewizji, a naszych piosenek nie puszczały radia. Ale nawet my mieliśmy zderzenie z cenzurą, i to właśnie przy okazji Jarocina. Zanim wyjechaliśmy z Płocka, zgodnie z przepisami zaniosłem teksty naszych piosenek do cenzora, który musiał wydać zgodę na publiczne wykonanie poszczególnych utworów. Niestety jeden kawałek, który był o wojsku, odrzucił. Oczywiście nie tłumaczył mi dlaczego, więc do dzisiaj nie wiem, o co konkretnie chodziło. Ale coś w utworze „Jest taka kwestia” musiało być, bo odrzucił ją później również drugi cenzor, kiedy chciałem ich przechytrzyć. Wiesz, wtedy nie było internetu, więc pomyślałem, że skoro ten kretyn w Płocku tekst odrzucił, to pójdę do cenzora w Jarocinie i powiem mu, że napisałem tę piosenkę w pociągu, więc trzeba ją na szybko ocenić. Myślałem, że ten przepuści, ale okazało się, że nie. A my chcieliśmy akurat tym utworem zakończyć swój koncert.

**I co zrobiliście?**

- Pewnie, że zagraliśmy. Ale najpierw przeprowadziłem krótką rozmowę z inspicjentem sceny, którego imienia nie kojarzę, ale pamiętam, że nazywał się Pałasz i pochodził ze Śląska. W sumie w porządku gość. Kiedy przygotowywaliśmy się do wejścia na scenę ten Pałasz podszedł i mówi do mnie: przypominam, że zgodnie z decyzją cenzury nie możecie zagrać utworu „Jest taka kwestia”. Zapytałem go, co się stanie, jeśli go jednak wykonamy, a on szczerze i spokojnie odpowiedział, że pewnie nic. I że go to raczej nie obchodzi, co zagramy, bo jego obowiązkiem jest tylko przypomnieć nam o zakazie. Ostatecznie wykonaliśmy więc ten utwór, bez żadnych negatywnych konsekwencji. Ta cenzura wg mnie była po to, żeby nas przestraszyć, a nie po to, żeby coś zrobić. Inaczej było wśród zespołów mainstreamowych, bo ich mogli zakazywać i kasować, choćby w rozgłośniach radiowych. Ale nas nikt wtedy nie grał, więc niczego tak naprawdę nie mogli nam zrobić.

**I tego się trzymacie do teraz, co było chyba twoją najlepszą decyzją. I jak rozumiem można pogodzić tę niezależność artystyczną zachowując, że tak powiem, płynność finansową?**

- Pewnie, że można. Aktualnie żyjemy głównie z koncertów. Z biletowanych koncertów, bo przez lata rzetelnie zapracowaliśmy sobie na to, żeby ludzie chcieli zapłacić, by nas posłuchać i zobaczyć. I cały czas pozostajemy sobą. Natomiast duże firmy czy wydawnictwa, owszem, mogą Ci zafundować sporą popularność, a jak przyniesiesz im dużo zysków, to może nawet dadzą Ci zarobić, ale jednocześnie każą Ci się wyrzec samego siebie. Wiesz, że mieliśmy kiedyś propozycję kontraktu, z którego wynikało, że wydawca bierze 85 procent kasy ze wszystkiego, w zamian obiecując wielką karierę? Na szczęście Farben Lehre nigdy nie miało parcia na szkło, więc nie musieliśmy i nie chcieliśmy iść na takie złodziejskie układy. Prawda jest taka, że polski „szołbiznes” polega na tym, że to my robimy szoł, a ktoś inny robi biznes.

**Nie tylko w Polsce tak to wygląda.**

- Oczywiście, ale my jesteśmy tutaj. A przecież nie może być tak, żeby twórca stał ostatni w kolejce po parę groszy. W dobrej restauracji najważniejsi są kucharz i klient. Kierownik restauracji czy kelner nie mogą decydować, co klient będzie jadł.

**Ale czasami może coś podpowiedzieć.**

- No tak, podobnie jak w radiu. Ale tu też najważniejsi są twórcy i odbiorcy, bo radiowiec jest tylko przysłowiowym kelnerem. Może być świetny i znakomity w tym co robi, ale ani nie napisał piosenki, ani nie decyduje o tym, czy ona się spodoba odbiorcy czy nie. Zatem powinien podpowiadać, grzecznie podawać danie i obserwować na końcu, czy słuchacz jest zadowolony. Ale u nas wszystko jest wywrócone do góry nogami. To Ci tzw. radiowcy są najważniejsi i najmądrzejsi, to oni robią za prawdziwe gwiazdy. Kojarzę paru medialnych „pieszczochów”, którzy uwielbiają komplementy. Często, jak młoda kapela przychodziła do radia bez koperty, to musiała się wkupić inaczej, na przykład komplementując szanownego pana redaktora. Żenujące i żałosne widowisko, ale mówię to, co wiem i co niejednokrotnie sam widziałem. W dupie to mam, ale tak być nie powinno. O kwestiach kupowania, przez duże wytwórnie, radiowych „pałerplejów” i płacenia pod stołem za miejsce piosenki w odpowiedniej rotacji też wszyscy wiemy. No, ale nikt nikogo za rękę nie złapał, więc chociaż jest to wiedza powszechna, niczego z tym nie można zrobić. Szkoda, że na stronach radiowych nie można w ofercie handlowej, wśród cenników reklamowych, znaleźć pozycji „pałerplej” z konkretną, należną kwotą. To byłoby przynajmniej uczciwe.

**Teraz jednak przyszedł taki czas, że gazetowo telewizyjna popularność się przydaje. Zawsze można dorobić w różnych programach TV, z przebojów lecą też większe ZAIKSy. Dla takiego zespołu jak wasz, czyli żyjącego z występów, pandemia i zakaz organizowania koncertów to pewnie armagedon, nie tylko w portfelu.**

- Pomyśl sobie, ilu koncertów nie zagraliśmy, skoro od ponad 15 lat gramy ich rokrocznie około 100? Każdy z nas ma pełną świadomość, że teraz jesteśmy zdani sami na siebie i właśnie przejadamy swoje emerytury. Wszystko, co zdołaliśmy przez lata odłożyć na tzw. czarną godzinę, powoli zaczyna nam się kończyć, a na pomoc państwa, jak się okazało, nie mamy kompletnie co liczyć. Zresztą i tak nie wpisałbym się na listę hańby z tzw. „Funduszu Wspierania Twórczości”. Jak mógłbym przyjąć tak nieprzyzwoicie tłustą dotację, a potem uczciwie mówić o tych wszystkich złych rzeczach, których dopuszcza się dzisiejsza władza czy pseudo-publiczna telewizja? Według mnie tego nie da się pogodzić. Niech biorą ci, którym jest wszystko jedno, dla których żadna kasa nie śmierdzi, ale ja tak nie potrafię.

**Miejmy nadzieję, że koncerty „otworzą się” jeszcze zanim będziecie musieli zacząć sprzedawać sprzęt albo instrumenty. Bo możemy sobie tu o niezależności, o wolności czy sztuce opowiadać, ale życie kosztuje. Życzę zatem powrotu na trasę.**

Oby tak się stało.